

665 Czy należy wspierać Fredrę i... aktorów

WOJCIECH NATANSON

Nowa inscenizacja „Pana Jowialskiego” w Teatrze Narodowym, przygotowana przez Tadeusza Minca, zaczyna się w „wolnej okolicy”. Drzewa, ogród. Zanim zaczęła się akcja, słychać nawoływania. Wchodzi Ludmir, powieściopisarz, grany przez Marka Wysockiego. Za chwilę zjawia się jego kompan Wiktor, malarz (Andrzej Malec). Zapewne w trosce o aktualizację obaj młodzi ludzie zachowują się niezbyt słowo. Krzyczą, nie dbają o czystość frazy.

W zamieszaniu widz traci założenia narracyjne, które w „Jowialskim” są ważne. Te mianowicie, że młody literat, układający plan powieści współczesnej, rozpoczął wędrowkę po kraju, poszukując sylwetek ludzkich, które by mógł potraktować na wpuł ironicznie, na wpuł balzakowsko. Potrzebne mu są w tym celu ilustracje Wiktora. Ludmir uci przy okazji zwrotkę z „Krakowiaków i górali”, co pozwala przypuszczać, że ambitny literat żywi też marzenia patriotyczne. Spór o intencje Fredry zostaje tu napomknięty. Ale nie patetycznie, jak chcieli niektórzy badacze. Ze tak jest istotnie, dowodziłoby na pozór naiwne pytanie Ludmira o urząd „Rozumnika Koronnego”.

Niestety, wiele ciekawych i pobudzających wątków, które spektakl zaznacza, ginie w zgiełku ruchu scenicznego — i wskutek braków dykcyjnych części aktorów. Dzieje się tak szczególnie w scenie teatru dell'arte, organizowanego przez Janusza dla zabawienia Jowialskiego — kosztem Ludmira Zabawa jest wyrafinowana gdyż właśnie ten, którego mają wyśmiewać — kpi sobie ze śmieszek. Ludmir korzysta z okazji, by ukazać małość świata „woskowanych posiadzek”. Jest pod tym względem sojusznikiem Gustawa ze „Ślubów”, który się w nocy wymyka na zabawy ludowe, gdzie widzi prawdziwe życie i ludzi niefalszowanych.

Reżyser spektaklu nie bierze pod uwagę nowoczesnego rozumienia Fredry. Inscenizator, przy pomocy scenografa, Małgorzaty Teutler, dba głównie o efekty widowiskowe. Jak-

by nie ufał Fredrze, jakby go trzeba było wspomagać. Pomysłowe dekoracje służą nie tylko do tego, by przebranego Ludmira przenieść z parku do pałacu. W rozmowie młodego literata z Helenką, oboje poruszają parawaniki, które ich dzieła, Wiktor (Marek Wójcicki) okazuje się strachają, umykającym za pierwszym ruchem przebranego Ludmira. Młody literat porusza się na huśtawce, bez której wielu naszych reżyserów nie może się obejść.

Na szczęście dwaj aktorzy ratują humor i sens „Jowialskiego”. Wieńczysław Gliński nie jest, co prawda ani pisarzem, ani miłośnikiem literatury, ani pieczołowitym kolekcjonerem. Skoro jednak Tadeusz Minc, jako reżyser, nie chciał akcentować problematyki „Jowialskiego”, myślę, że trzeba przyznać Glińskiemu nie tylko swobodę i pewność techniki, ale i nowe spojrzenia na Jowialskiego. Nie jest on ani staruszką — nudziarzem, ani fanatykiem anegdot, kalamburów, bajeczek. W sile wieku daje wyraz swej radości życia, humorowi, życzliwości dla świata, dowcipowi.

Druga oryginalna rola — to Szambelan, zagrany przez Wojciecha Brzozowicza. Odrzuca pojmowanie postaci jako głupca czy nieszkodliwego wariata. Jest zamiłowany i zakochany w swych robotkach, zabawach, majsterkowaniach. Pełen poczucia humoru, śmieje się z całej duszy.

Drugi akt spektaklu jest lepszy od pierwszego. Ludmir i Wiktor mówią wyraźniej, zrozumialej. Szkoda tylko, że reżyser znów daje się ponieść wienię widowiskowej. Gdy Ludmir marzy o przyszłym małżeństwie, reżyser — korzystając z funkcjonalnej scenografii — pokazuje obrazowo wszystkie jego, nawet żartobliwe, projekty.

To jeszcze podoba się widzom. Ale nie było nawet umiechów w scenie sporu między Januszem a Wiktorem, w którym obaj zrzucają ubrania, zakasują rękawy — i niemal

przygotowują się do... bokserskiego starcia. Niepotrzebne są piosenki w finale. Miła była choreografia Barbary Fijewskiej, fortunna muzyka Zbigniewa Piotrowskiego. Ale czemuż zamykać usta samemu Fredrze? I odbierać końcowy efekt wykonawcom: Glińskiemu oraz Janinie Nowickiej, wcale nie staruszcze, tylko czulej na mężowskie „figle” pani Jowialskiej?